

Co wieczór obiecuję sobie poranny spacer. Gdy wstaję z łóżka po nocy, okazuje się, że poranek już minął, albo co gorsza, dopiero przyjdzie. Zazwyczaj jestem zbyt zmęczony, zbyt spóźniony, albo w ogóle nie w porę na wyjście. W drodze do kuchni sunę palcem po ścianie, a jej chłód zabiera mnie tam, gdzie spacer nie może. Do gór, rzek, do źródeł tak zimnych, że wyobrażam sobie jak moczę w nich jaja, a one kurczą się w sekundę podobnie do jaj nieużywanych przez lata. Przy herbacie mam wątpliwość, może jednak gdzieś wyjdę? I tak przez cały dzień, aż na wieczór dopadnie mnie zwątpienie totalne. Dziś towarzyszyła mi cisza. Nie jest to nic nowego, ale jednak ta dzisiejsza była inna, podobna do wieczornego zwątpienia – totalna. Gdy odezwałem się do siebie przed napisaniem tego fragmentu – rzucając kompletnie losowe słowo – wystraszyłem się swojego głosu. A jednak. Jestem. Usłyszałem siebie, jakbym usłyszał się po raz pierwszy. Rzeczywiście tak było, to był pierwszy raz ze swoim słowem od momentu otworzenia oczu. Odchrząknąłem zaśniedziałe gardło i znowu coś mruknąłem w strachu, że tak sporadycznie używany głos, zamilknie na zawsze.

W południe za oknem było inaczej niż w styczniu. Miasto spuchło od deszczu, przynajmniej ten kawałek, który widzę stojąc przy oknie. Iść tam? Łazić po tej brei? A kurtkę mam na deszcz? Buty? Zamieszałem herbatę raz w lewo, raz w prawo, a wir który powstał we wrzącej jeszcze wodzie, kusił mnie by włożyć w niego palec. Z rana dobrze jest poczuć cokolwiek, ale parzyć się? Po chwili ujrzałem siebie, jak dmucham na poparzony kciuk – widząc to, zlewam ten durny pomysł sikiem prostym.

Pierdoliłem się z tą herbatą. Bergamotkę było już czuć w całym mieszkaniu. a ja dalej mieszałem nie robiąc nawet łyka. Przespacerowałem się raz jeszcze, w pokoju sennym – sennie i duszno po nocy. W dziennym – dziennie, ale szaro od braku słońca. Wróciłem do kuchni, wzrokiem ogarnąłem burdel w zlewie, patelnie po jajkach z wczoraj i wszystko inne, niepotrzebnie leżące tak o, byle gdzie. Posprzątałem. Włączyłem radio i zacząłem coś tam grzebać w zlewie. Otworzyłem zmywarkę i pojedynczo wkładałem upierdolone widelce i noże do koszyczka, za nimi talerze, garnki, miski. I ten ja, zwisający w pozycji pół zgiętej, do szalu mnie doprowadził. Jebnąłem tym momentalnie i wziąłem się za herbatę. Po chwili, gdy uspokoiłem szmery, zdałem sobie sprawę, że łażąc tak po domu, nie znajdę recepty na resztę dnia. Nie pomoże sprzątanie, oglądanie mebli, herbaty, kawy, nic. Ale gdyby tak wałnąć sobie klina na rozchmurzenie, co by te ciemne chmury znad styczniowej chandry rozgonił? Gdyby tak jeden bądź dwa sobie łyknąć?

Wyjąłem z lodówki flaszkę z wczoraj, w której zostało coś na dnie i zamieszałem trzymając za szyjkę. Czasem rozwiązania są bliżej niż nam się wydaje. Ale czy na pewno rozsupałem tym węzły? Pewnie nie. Po łyku straci to znaczenie. Po łyku rozsupała się rzeczywistość, a ja porozplatałem nietrafione, poranne pomysły jak wykorzystać kolejny stracony dzień. Nalałem do szklanki i było tego tak z pół. Rozejrzałem się za popitą i machnąłem ręką – przecież nic nie mam. Wyjąłem mleko i pod to mleko, jednym haustem pożegnałem wszelakie pytania.

Od tego momentu było już tylko lepiej. W mojej głowie. Na zewnątrz świat nie chciał się przyznać do radości. Postanowiłem odwiedzić babcię, która leży. Od lat tylko leży i leży, patrzy w kanały dla głuchoniemych i patrzy. Idąc do niej patrzyłem i ja, ale na twarze, które mijam, które mija czas. I nic. Szły. Pomyśleć, że nigdy nie widziałem jak kwitną brzoskwinie. Doskonale zaś wiem jak kwitną kasztanowce, jak lipa obkurza ulice, jak trawa robi się szara, zimowa, jak ludzie odziewają się w styczniowe maski. Nie widziałem słońca spoza Europy. Nie wiem jak smakuje Paryż. Co prawda wyobrażam sobie;

właśnie teraz idę po *Rue de coś tam* i czuję jego smak. Patrzę na smutek stąd i jestem tam, przy paryskich wyobrażeniach. Gdy liżę kurwę po kroczu, gdy przepłukuję po niej usta wódką również projektuję swój smak Paryża. Czy tak smakuje? Czy jego smak jest kurwi?

Deszcz ze śniegiem przypomina mi jakieś wynaturzone, radiowe piosenki. Czy zawsze musi padać, gdy jakiś produkt śpiewa o nieudanym związku? W deszczu nie ma nic romantycznego. W deszczu schowany jest ból moich nieprzespacerowanych ranków. Jest jednak coś na plus, jego głos. Lubię jak materia za oknem ulega, gdy po upalnym dniu w końcu zaczyna krztusić się letnim deszczem. Gdy upalny dzień wciska hamulec a z nieba lecą pierwsze krople, ten moment, dźwięk, jakby na rozgrzaną do czerwoności patelnię wrzucić kawałek wołowiny. W zimę jednak ulgę tłumi gniew – i z zimna i z przemoczenia. Zimą deszcz jest chuja warty, a jego głos jest jak Mazurek Dąbrowskiego zaśpiewany w Korei.

Gdy przekręcam klucz w zamku, zastanawiam się czy to w środku jeszcze żyje. Robię pierwsze kroki przez przedpokój – zaglądam przez ramię do kuchni choć wiem, że nikogo tam nie znajdę i dalej, do pokoju. Jest, leży. Zawsze leży. Od ośmiu lat. Póki co nie zwraca na mnie uwagi, jeszcze nie wie, że przyszedłem. Może już się nie dowie? Zapalam światło, nic. Podchodzę bliżej. Śpi? Czy to właśnie ten moment, który sobie wyobrażam? Wychodzę z pokoju i wchodzę do kuchni. Nie wiem za bardzo gdzie się podziać, więc odruchowo wstawiam wodę na herbatę i otwieram okno na uchył. Lodówka otwarta, dlaczego? Domykam, siadam przy stole i widzę babcię, jak stoi przy garach. Jak stała przez lata i smażyła kotlety z pieczarkami i serem. Jak robiła kompot. Wiecznie w podomce, wiecznie przy kuchence. Wstaję od stołu i idę tam, gdzie jest naprawdę, gdzie leży. Stoję nad nią i nie wiem, czy oddycha, nie widzę. Zastanawiam się, czy można budzić człowieka, który jest przed dziewięćdziesiątką? A co jeśli serce nie wytrzyma? Podkładałam ucho pod nos i jest, oddech. Kurwa mać – mówię do siebie w duchu, z ulgą. W tym momencie woda w kuchni się zagotowała, czajnik zrobił to swoje *cyk*. Wracam do kuchni, zalewam herbatę – dla siebie w kubku, dla babci w plastikowym pojemniku, z którego łatwiej napić się w pozycji leżącej. Gdy niosę do pokoju, parzy cholernie, ledwo donoszę. Stawiam przy stoliku szybko i zaczynam dmuchać w palce. Babcia pokazuje palcem na światło. Co pewnie oznacza: po coś zapalił? Jasno jest. Wskazuję palcem na okno, żeby zobaczyła, że jakoś szaro, ciemno. A więc nie śpi. Żyje.

Siadam obok łóżka na fotelu i włączam telewizor. Babcia robi palcami *peace and love*, co oznacza: włącz dwójkę, zaraz będzie serial.

Zastygam na kilka minut. Wódka zdaje się wyparowała. Znikam w plątaninie myśli, patrząc w ekran, nie mając pojęcia co też się tam dzieje. Po chwili wracam, gościu w dolnym rogu ekranu macha coś do mnie i do babci. Jak to jest nie słyszeć nic? Czy słyszeć pisk? Ten dobrze znany, gdy wyjedzie się poza miasto, gdzie przy zasypianiu słyszeć ciszę totalną w postaci linii ciągłej jak na EKG. Jakby wszystko rzeczywiście umarło. Nie tylko nie słyszy. Ma coś pojebane z nogami, przez co jest przypięta do łóżka dwadzieścia trzy godziny na dobę. W te jedno, odstające sześćdziesiąt minut jest w łazience, gdzie opiekunki obmywają jej stare, pomarszczone ciało, uprzednio podnosząc i sadzając na wózek. Zastanawiam się jak bardzo można być samotnym leżąc i nie słysząc? Gdzie jest granica samotności, którą się rozumie, a gdzie wyniszczająca tęsknota za dawnym życiem?

Wydaje się pogodzona z losem. Czasem pyta swoim kulawym językiem: kiedy umrę? Już niedługo babciu – odpowiadam trochę słowem, trochę na migi – już niedługo. Albo: ile to człowiek może żyć? A ze sto lat babciu, a ze sto lat.

Co rano pragnę posłuchać spokojnego dźwięku zanim zacznie się to całe szaleństwo. Nastrajają mnie drobne melodie, od pęczniejących płatków owsianych w mleku po szmer jaskółki przy oknie. Wydłubywanie ropy z oka, przecieranie dłoni pod bieżącą wodą, zalewanie herbaty. Nic wymuszonego, nic wybijającego się ponad harmonię.

Poranne chrupanie przy herbacie, rozmowy co by tu dziś, gdzie by tu dziś, co by tu jutro, co by za tydzień, co by przez resztę życia. Nie przywykłem wspólnie śniadać przez te szmery właśnie, przez za głośne poranki.

Dopijam herbatę i idę. Mówię do babci, że będę szedł, pokazuje palcem idącego hipka. Babcia kiwa głową na tak. Zamykam za sobą drzwi, a wraz z nimi naszą samotność – moją wśród ludzi, jej wśród seriali i ciszy.

Idę między twarze, żeby się zgubić, spojrzeć raz jeszcze na miasto, na to, co z niego zostało. Idę nie mówić nic. Idę robić nic. Idę.

Czy babci coś dało te kilka minut ze mną? Czy lepiej jakbym w ogóle nie przychodził?

W domu dopijam herbatę, tę sprzed kilkadziesiąt minut. Kładę się na łóżku z książką i budzę się wieczorem. Właśnie wtedy przestraszy mnie mój głos. Moja obecność wyda mi się dziwnie obca w stosunku do siebie samego. Ocierając dłonie odczuwam obce ciało, cały ja wydaje się nie mieć początku.

I końca.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

stawitzky, dodano 24.01.2019 11:14

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.